

Teatr

Elektroniczne zło

JOANNA CHOJKA

■ Fantastyczne królestwo Goplany prowokuje reżyserów i scenografów do folgowania wyobraźni. W inscenizacji Teatru Współczesnego w Szczecinie przysłowiową już honde zastąpiły elektroniczne akcesoria oferujące podróż w wirtualny świat.

Przywoływanie spektakli Adama Hanuszkiewicza nie jest wcale konieczne. Nie tak dawno w Gdyni oglądałam „Balladynę” młodego reżysera, skąpaną w ultrafioletowym świetle, z fluorescencyjnymi kostiumami punków i „robocopów”. Mimo wprowadzenia do teatru techno-świata, w przestrzeni dramatycznej dzieło się jednak niewiele. Podobnie jest z przedstawieniem szczecińskim, które pokazuje jaskrawo, że współczesność sprowadzona do kilku efektownych gadżetów nie może być kluczem do romantycznej klasyki. Co najwyżej wytrychem, który – wdzierając się na siłę – rozsypuje wykreowany przez Słowackiego świat na pojedyncze okruchy. Nie da się ich złożyć w całość, którą przekraczałyby granice banalnych skojarzeń.

WIRTUALNI IDOLE

Zaczyna się źle i kończy się źle. Metalowe rusztowania, uzupełnione folią, to koncept zbyt mocno wyeksploatowany, by rościć sobie pretensje do awangardowości. Metafora świata-szkieletu, bezdusznej, industrialnej cywilizacji, też raczej miałka. Ta sama przestrzeń przynależy do stworzeń „z mgły i galarety”, jak i do ludzi, co prowadzi do zatarcia granicy między dwoma planami dramatu – rzeczywistym i fantastycznym. Goplana (Anna Januszevska), całkiem cielesna, pojawia się w pierwszym obrazie

na obrotowym fotelu, w niebieskim kaszku na głowie, którego dopełnieniem są okulary oraz rękawice ze szponiastymi palcami. Jej słowa mają charakterystyczny pogłos, przetwarza je bowiem bezprzewodowy mikrofon, który sterczy przy jej ustach, jak u gwiazd muzyki pop. Królowa Gopla zamieniona w estradowe bożyszcze, którego kult wspiera fikcyjną rzeczywistość? Na to wygląda. Chochlik i Skierka – jej wyznawcy, ubrani zgodnie z dyskotekową modą, noszą na szyjach pulsujące kolorowym światłem elektroniczne obroże. Cała trójka to nie żadne duchy, tylko fani techno i użytkownicy multimedialnego sprzętu, który przenosi ich w wirtualne światy.

Romantyczna Poezja i jej siła kreacyjna została zredukowana do nierzeczywistości komputerowych gier, których pierwszą ofiarą pada Grabiec (Wiesław Orłowski), przemieniony w wierzbę, a potem w króla dzwonkowego. To ostatnie życzenie, spełnione dzięki wirtualnym okularom i kaskowi w roli cudownej korony Popielów, przynosi mu realną śmierć. Balladyna uwierzyła w jego obecność na uczcie (zamienionej w techno-orgię pod wodzą czarnej postaci na szczudłach) i zabiła. Ale kogo – komputerowego fantoma? Przecież nie ciało, bo tego w jej zamku nie było. To tylko jedna z pułapek reżyserskiej interpretacji.

KOŚCIÓŁ LUDZKI

Koncepcja świata, w którym to, co nadprzyrodzone – boskie i diabelskie – zostało wytworzone przez media, bardzo szybko pokazuje swoje ograniczenia. Kiedy Balladyna (Beata Zygarlicka) po zabiciu siostry wypowiada „sakramentalną” formułę: „Jest Bóg... zapomnę, że jest, będę żyła, / Jakby nie było Boga”, trudno zrozumieć, o co jej chodzi. Jaki Bóg, skoro kościół wyłącznie ludzko-ludzki? I nie tylko dlatego, że tak właśnie – zawieszając jego istnienie – postanowiła żyć główna bohaterka. Boga w spektaklu Augustynowicz po prostu nie ma. Nie ma go dla niego samego, istnieje natomiast jako słowo-idea, używane instrumentalnie przez różnych „oszołomów” w rodzaju Pustelnika (Jacek Polaczek) czy Kirkora (Mirosław Guzowski). Ten pierwszy, ustrojony w komżę z rękawami à la Presley, konkuruje z Goplana do roli idola. Jego wyznawcami, ustawiającymi się w kolejce do spowiedzi, są dworzanie-politycy w garniturach, z identyfikatorami na piersi. Palma pierwszeństwa należy jednak do Kirkora-biznesmana, który dorobił się wielkiego majątku (wręcza Wdowie wizytówkę swojej firmy). Czując mimo tego w sobie pustkę, próbuje małżeństwa, które przynosi jednak tylko gorycz (pierwsza odsłona wspólnego pożycia Balladyny i Kirkora, w której młodzi małżonkowie siedzą w swoim „zamczysku” w ciemnościach, po przeciwnych stronach rusztowania, wypaleni i rozczarowani, ma bodaj największą siłę dramatyczną w szczecińskim spektaklu). Zawiedziony, szuka potem spełnienia w „świętej wojnie”, powziętej w imię idei pożyczanej mu przez Pustelnika. Mate-

rialną postacią tej idei jest religijny kicz, obraz-fetysz.

ŚMIERĆ Z RĄK PAPARAZZICH

O nieobecności Boga najdobitniej świadczy finał, w którym wyeliminowany został karzący piorun. Scenę sądu reżyserka rozgrywa jako telewizyjny talk-show, którego główną gwiazdą jest Balladyna. Gośćmi programu są jej ofiary, których twarze ukazują się na zawieszonym nad sceną telebimie. Stamtąd – z ekranu – płynie ich oskarżycielska mowa. Pozornie sędziują eksperci zaproszeni przez gospodarza programu do loży komentatorów. Nikt jednak nie traktuje poważnie gadających głów, występujących wyłącznie w charakterze dekoracji. Uwaga koncentruje się na wyrokach królowej. Każde jej słowo, ba, grymas twarzy, śledzone są przez czujne oko kamery i aparaty fotograficzne dziennikarzy. Balladyna znajduje się dosłownie pod ostrzałem fleszy i one właśnie stają się narzędziem kary, która na nią spada. Kary za chęć bycia na świeczniku w roli telewizyjnego idola. Taka jest miara władzy we współczesnym świecie – to media ustalają hierarchię, nadają książęce i królewskie tytuły.

Można się na to rozpoznanie zgodzić. Tyle że nie rekompensuje ono utraty szanasy na dramat czy wręcz tragedię metafizyczną. Żal tragicznej postaci, która swoimi zbrodniami prowokowała Boga do odsłonięcia moralnych podstaw jego władzy. Takiej Balladyny nie warto bronić, jak próbowała to czynić, cytowana w znakomicie przygotowanym programie-gazecie, profesor Maria Janion. Anna Augustynowicz chce uprawiać teatr współczesny, umieszczając w swoich spektaklach znaki naszego czasu. Okazuje się jednak, że tam gdzie reżyserka nie zyskuje poparcia w nowej dramaturgii, postrzega tę współczesność bardzo zewnętrznie. Naprawdę, nie może być jej miarą uczt techno i stroboskopowe szaleństwo. Użyte po raz kolejny efekty zaczynają po prostu nużyć. Bo świat – przynajmniej mój – ma jeszcze inny wymiar niż ten pokazywany w MTV.

JULIUSZ SŁOWACKI, „BALLADYNA”, ADAPTACJA I REŻYSERIA: ANNA AUGUSTYNOWICZ, dekoracje: Marek Braun, kostiumy: Zofia de Ines, muzyka: Jacek Ostaszewski, ruch sceniczny: Arkadiusz Buszko. Premiera 16 maja 1998 roku w Teatrze Współczesnym w Szczecinie.